Wydanie południowe.

Przedpłata
na „Głos Narodu“ wynosi:
W Krakowie: rocznie kor. 32·—, kwartalnie kor. 8·—, miesięcznie kor. 2·70, za odnoszenie dwukrotne dziennie 60 hal. miesięcznie.

Numer poranny 14 hal., południowy 4 hal.

GŁOS NARODU

DZIENNIK POLITYCZNY, ZAŁOŻONY W ROKU 1893 PRZEZ JÓZEFA ROGOSZA.

REDAKTOR KIERUJĄCY: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Wydanie południowe.

Przedpłata
na „Głos Narodu“ wynosi:
Na prowincji: rocznie kor. 40·—, kwartalnie kor. 10·—, miesięcznie kor. 3·40. **Za granicą:** kwartalnie kor. 13·—, rocznie kor. 52.—.

Numer wieczorny na prowincję 16 halerzy, południowy 6 halerzy.

Nr. 58. **Kraków, Poniedziałek dnia 12 Marca 1900.** **Rok VIII.**

SPRZEDAŻ BORYSŁAWIA?

Zamieszczając przed kilku dniami nadesłany nam komunikat dyrekcji Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu, stanowiący odpowiedź na okólnik, rozesłany prasie przez syndykat akcjonarjuszów Banku kredytowego w likwidacji, oświadczyliśmy, że sprawę, postawioną przez syndykat dość niejasno i ogólnikowo, na razie na naszych szpaltach zamykamy aż do zwołać się mającego walnego zgromadzenia, na którem oczekiwać należy otwartego wystąpienia członków syndykatu i odpowiedzi likwidacyjnego komitetu.

Ze strony szanownego posła Wielowieyskiego i syndykatu nadesłano nam jednak w odpowiedzi na pismo p. Tołłoczki dwa sprostowania na mocy ustawy prasowej, które umieścić musieliśmy. Dyskusja w prasie wobec tych sprostowań musi się zająć tą sprawą tem żywiej, ile że, jak się dowiadujemy, sprawy przybierają taki obrót, że zachodzi rzeczywiste niebezpieczeństwo w zwłoce. Dla sprawy Banku kredytowego w likwidacji otwieramy zatem szpalty naszego dziennika na nowo, oświadczając z góry, że najbezstronniej przyjąć jesteśmy gotowi informacje i wyjaśnienie każdej ze stron w sprawie, przybierającej doniosły publiczny charakter.

Od tragicznej śmierci ś. p. adwokata Krzyżanowskiego, różnorodne pogłoski obiegały ustawicznie o zgasłym, smutnej pamięci Banku kredytowym we Lwowie. Ani my, ani inne redakcje dzienników krajowych nie podawały tych pogłosek do wiadomości publicznej, gdyż nie chciały przeszkadzać akcji sanacyjnej, miały zresztą powód ufać słowu księcia Adama Sapiehy, który publicznie zaręczał, iż interesy akcjonarjuszów ani naruszone, ani narażone na straty nie będą. Tymczasem dziś niestety, jak nas informują, zachodzą poważne obawy, iż rzecz będzie się miała zupełnie przeciwnie, o czem nawet głośno odzywają się osobistości wtajemniczone w przebieg spraw Banku kredytowego i obecnej jego likwidacji.

Właśnie te obawy były powodem, iż znaczna część akcjonarjuszów utworzyła syndykat we Lwowie, którego zadaniem jest obrona przed możliwą utratą nieraz całego majątku. W tym celu syndykat, posiadając w ręku potrzebne daty, zamierza wszystko co się działo w Banku Kredytowym, nic nie ukrywając, wydostać na światło dzienne i w ten sposób zainteresować tą sprawą nietylko opinję publiczną, ale i prokuratorję państwa. A mają to być fakta o wiele jaskrawsze niż te, któreśmy dotąd w Galicji przeżyli. Wieści, które dochodzą nas ze Lwowa, brzmią wprost potwornie.

Jak wiadomo powszechnie, głównem i nawet jedynem pokryciem dla akcjonarjuszów są kopalnie wosku ziemnego w Borysławiu. Dzięki kartelom i rosnącemu zastosowaniu w industrji, a tem samem zapotrzebowaniu, wartość tego produktu poszła ogromnie w górę. Podczas gdy za 100 klg. płacono przedtem 27 złr., dziś za tę samą ilość płacą już 42 złr., a jest uzasadniona nadzieja, pewność niemal, iż cena ta pójdzie jeszcze znacznie w górę! Rzecz naturalna, iż skutkiem tego i wartość kopalń z dniem każdym się zwiększa. Gdyby zatem wartość Borysławia dziś nie dawała nawet zupełnego pokrycia dla akcji, to z czasem takową dać musi.

Tymczasem rozchodzi się wieść, iż komitet likwidacyjny zamierza kopalnię tę sprzedać konsorcjum, reprezentowanemu przez Anglo-bank, za którym stać mają niektórzy z magnatów galicyjskich.

Jesteśmy silnie przekonani, iż jest to prosta bajka, ale ponieważ bajka ta jest prawdziwie zdumiewająca, ponieważ wobec wypadków dni ostatnich opinja jest pochopna do przyjmowania za prawdziwą każdej wieści, choćby najnieprawdopodobniejszej, przeto powtarzamy to, czego się dowiadujemy, aby dać możność tym, do których to należy, zaprzeczenia fałszywej zapewne wiadomości, a tem samem uspokojenia opinji publicznej.

Dziś otrzymaliśmy od syndykatu następujący cyrkularz, który podaje bardzo ciekawe daty co do wartości Borysławia:

„I. Książę Adam Sapieha zeznając w sądzie karnym dnia 17 marca 1899, ocenił dochód czysty „minimalnie“ na 400.000 złr. rocznie. To odpowiadałoby wartości kopalń bez kaucji, zapasów wosku i terenów naftowych na cztery miljony złr.

„II. P. Tołłoczko w zeznaniach karno-sądowych dnia 4 października 1899 mówi, iż wartość Borysławia podług jego bilansu wypadła 190.000 złr. wyżej, niż w bilansie odbiorczym z 2 sierpnia 1899, co odpowiadałoby sumie 3,800.000 złr. (wraz z zapasami wosku nisko taksowanymi podług cen dawniejszych).

„III. Obecną sprzedaż można taksować na 250 wagonów po cenie przeciętnej 42 złr. za cetnar metryczny. Koszty produkcji wynoszą 22 złr., zatem zysk 20 złr. na cetnarze, czyli 2000 złr. na wagonie. Zatem cały zysk 500.000 złr. rocznie, co odpowiadałoby wartości pięciu miljonów złr.

„Uwaga: Przed dwoma laty jeszcze wynosiła cena sprzedażna wosku tylko 28 złr., zaś koszty produkcji 26 złr., stąd ogromna różnica wartości kopalni od tego czasu.

„IV. Przy pełnym rozwoju kopalni i urządzeniu centralnem szybów, powinna produkcja podnieść się na 300 wagonów przynajmniej, a koszty wydobycia zredukować na maximum 18 złr. od cetnara metr., co stanowi przyznaną zasługę p. Tołłoczki, którą się słusznie szczyci.

„Wtedy zysk na cetnarze wyniesie 24 złr., a na wagonie 2400 złr., co przy 300 wagonach uczyni 7,200.000 złr.

„Dlatego uważa syndykat sprzedaż obecną Borysławia za krzywdę małych akcjonarjuszy i zmarnowanie mienia krajowego.

„V. Co do funduszów potrzebnych do eksploatacji kopalni, to zeznał p. Tołłoczko w sądzie karnym dnia 4 paźdz. 1899 r., że ma takowe zapewnione dostatecznie.

„VI. Wobec tych zeznań p. Tołłoczki, wynikałaby konieczność dzisiejszej sprzedaży chyba z tego powodu, iżby JW. pp. gwaranci ku szkodzie ogólnej chcieli gwarancje swoje cofnąć, co uważamy za tem mniej prawdopodobne, iż dawali gwarancje w poczuciu obywatelskiego obowiązku, z którego wycofywać się nikomu nie wolno.

„Obawiając się, że pp. gwaranci mogą być źle poinformowani, chętnie udzieli syndykat dokładniejszych wiadomości, nie wątpiąc o najlepszej woli JW. pp. gwarantów“.

Odpowiedź Obserwatora I.

(Dokończenie)

Jak mężczyźni stanęli w obronie praw kobiety, tak i mężczyźni opór im stawili. Cóż dziwnego? Każda nowość trwoży, trudno odzwyczaić się od tego, co wieki „uświęciły“, nikt zresztą bez oporu nie zrzeka się przywilejów. Ba! najsilniejszą falangę przeciw emancypacji kobiety, stanowiły... kobiety. I one nie mogły zrozumieć nowych prądów, wyjść po za granice zakreślone im tradycją. Zresztą zwolennicy i zwolenniczki emancypacji (zwłaszcza te ostatnie) jak wszyscy apostołowie nowych haseł, wpadali w przesadę, nie liczyli się z tem, co możliwe, budowali teorje, lekceważąc praktykę życiową. Obok słusznych wymagań, stawiali niesłuszne, dziwaczne, lub zawczesne. Co gorsza, wmięszał się w sprawę „proletarjat umysłowy“ i ośmieszył ją. Tak zwane „emancypantki“ najwięcej zaszkodziły emancypacji. Przeciwnicy wyzyskiwali słabe strony — i sprawa poważna zeszła na farsę. I pomimo, że naturalną siłą rozwoju idea ciągle odnosi pewne zwycięstwa, to walczący w jej obozie starannie unikają nazwy: „emancypacja kobiet“. — Spytaj się pani na próbę kilku rozumnych mężczyzn, czy są za emancypacją, a prawie każdy powie: nie, — a spytaj się ich pani, czy należy kobietom przyznać takie a takie słuszne prawa, każdy odpowie: naturalnie!

I pani też pisze: nie jestem emancypantką! — a tymczasem pani nią jesteś, tylko w dobrem znaczeniu tego pojęcia. Chcesz reformy wychowania i wykształcenia kobiet — a to przecież jest postulat emancypacji. Tylko znowu pani niesprawiedliwie odnosisz się do nas wszystkich „Panów świata“, kiedy, jeżeli kto, to my właśnie nad tą reformą pracujemy i pomału ją przeprowadzamy. Jesteś pani za młoda, abyś sobie przypomniała, jak przed laty 30 wyglądało wykształcenie kobiet choćby w naszym w Krakowie. Były dla nich szkoły ludowe i pensjonaty, — a tylko w klasztorze św. Jana istniały dwa kursa pedagogiczne dla przyszłych nauczycielek. Kursa te ustały z chwilą założenia seminarjum naucz. żeńskiego. Jednocześnie Rada miejska założyła szkołę wyższą św. Scholastyki, a przezacnej pamięci Adrjan Baraniecki stworzył wyższe kursy dla kobiet przy Muzeum przemysłowem. Wszystko to robili „Panowie świata“ dla... Pań świata. Dziś mamy już dla dziewcząt gimnazjum, kursy Baranieckiego rozszerzono do niepoznania, otworzono dla dziewcząt osobne kursa uzupełniające i kursa handlowe przy szkole św. Scholastyki, kobiety wreszcie mają wstęp na uniwersytet, wstęp ograniczony, to prawda, ale czy o tem marzyłby kto jeszcze przed 10 laty? Więc chyba pomiędzy tymi panami świata wykształcenie kobiety niema tylu wrogów, jak się Pani zdaje. Powiesz pani znowu: ależ kobiety szturmowały! Niech się łaskawa pani nie obrazi, jeżeli odpowiem, że szturmy były bardzo mizerne i wcale nie straszne. Choć nie jestem Rolandem *sans peur*, to przecież podejmuję się każdy taki szturm odeprzeć nawet bez użycia broni palnej czy siecznej. Strach może oddziałać tylko na... pantoflarzy, a z tych nie składa się, na szczęście, większość naszego rodu.

Ale choć sprzyjających wyższemu wykształceniu kobiet znajdzie pani między nami bardzo dużo, to znowu rzadko można spotkać takiego, któryby się zgadzał, aby w regule kształcić w taki sposób dziewczęta, jak chłopców. Dla żądnych wiedzy, nie powinno się stawiać żadnych trudności — ale zmuszać wszystkie do takiej nauki, do jakiej się zmusza chłopców, to nie miałoby najmniejszego sensu. W Ameryce kobieta ma otwarte podwoje do wszystkiego, a jednak, jak mały ich procent z tego korzysta.

Niema w tem nic dziwnego. Kobieta jest człowiekiem, jak mężczyzna, ale w każdym razie nieco innym człowiekiem. Słabsza jest fizycznie, ma przez naturę wyznaczoną osobną a wielką rolę — i prędzej dojrzewa. Chłopiec 18-letni jest smarkaczem, a jego siostra w tych latach jest dojrzałą i czasami bywa już matką. Mężczyzna z inteligencji uczy się przecięciowo do 24 roku życia, — panna przecięciowo do lat 18. Z tem się liczyć należy.

Co do reformy wychowania, podzielam Pani zdanie. Ale i tu winę przypisywaną nam mężczyznom, należy bardzo zmniejszyć. Weszło to w zwyczaj, a zwyczaj ten w zasadzie ma wiele za sobą, że rodzice dzielą się wpływem na wychowanie dzieci: ojcowie zajmują się chłopcami, matkom zostawia się dziewczęta. Więc wina niewłaściwego wychowania ciąży przeważnie na matkach. A matki te, i wogóle starsze niewiasty, choćby najzacniejsze, posiadają w wysokim stopniu... upór. One mają własne pojęcia o wychowaniu, — i tu mężczyzna, jeżeli nie chce robić „piekła“ w domu, staje się bezsilny. Iluż to znam ojców, co powtarzają ciągle swoim małżonkom: czemu nie zostawisz dziewczętom swobody, po co je tak musztrujesz i krygujesz, na co te gorsety, po co te korki, te układania włosów, te muskania, te śmieszne „dygi“ z podwijaniem nogi, te zasznurowane buzie, to sztywne chodzenie i „trzymanie się“? Ale to wszystko jest groch na ścianę. Tak samo z francuzczyzną i fortepianem. Mąż drwi sobie, żartuje z tych „nauk“, gniewa się nawet, — ale to wszystko na nic się nie zda. Zosia musi się uczyć u „madame“ i mieć „metra“. „Rób sobie z chłopcami, co ci się podoba — mówi rozindyczona jejmość — a zostaw mi w spokoju dziewczęta!“ I mąż zostawia, pomny przysłowia: pieprzu nie przetrzesz, baby nie przeprzesz.

Ale zostawmy matki w spokoju, — niech młode pokolenie [illegible] zlituje się same nad sobą i nad

przyszłem pokoleniem. Mówisz pani: „my dziewczęta wołamy wielkim głosem: nie krępujcie ciał naszych sznurówkami, a dusz ciasnemi formułkami, nie wykręcajcie nam palców i języków itd. itd.“ Zapóźne wołanie, bo to już się stało. Ale wy same, dziewczęta, jeżeli już zrozumiałyście, jak jest spaczonem wasze wychowanie i wykształcenie, otrząśnijcie się z „ciasnych formułek“, pozbądźcie się krępujących „sznurówek“, — ratujcie jeszcze co się da uratować. A przedewszystkiem przyrzeczcie sobie, że jako przyszłe matki, będziecie córki swe rozumnie kształciły i wychowywały.

Tylko, że ja nie bardzo wierzę, aby ogół dziewcząt tak wołał, jak to przedstawia panna Krachelska. To głos tylko jej i małej jeszcze garstki. Ale dobrze, że już i taka garstka istnieje — i dobrze się stało, że w jej imieniu wystąpiła p. Krachelska. Wartość moich luźnych uwag poszła znacznie w górę przez zyskanie takiego sprzymierzeńca.

Rzecz, o którą szło mnie, p. Krachelskiej i kilku innym moim „współpracowniczkom“, ma pierwszorzędne znaczenie. Kierunek wychowania to rzecz sto razy ważniejsza, niż wszelka bieżąca polityka, w nim bowiem leży siła lub słabość danego społeczeństwa. Dyskusja nad tym przedmiotem powinna być zawsze otwarta, a nie ma lepszego środka jak prowadzić ją po dziennikach. Tysiące kobiet czytało to, cośmy tu pisali, a chyba przypuścić można, że niejedna z nich zrozumiała nasze intencje i przystąpiła do naszego „stronnictwa“.

Radbym, idąc śladem p. Krachelskiej, zakończyć moją odpowiedź szczyptą humoru. Ale mi jakoś nie idzie. Dobrze jej, młodej, żartować sobie, żem jej „nawymyślał od starych“, ale mnie nie może być bardzo przyjemnie, kiedy jest mowa o... wieku.

Wiem tylko, że czytając jej list, myślałem sobie,— jakbyto powiedzieć? — otóż myślałem sobie, że nieboszczyk Asnyk, oprócz utworów poważnych, pisał bardzo ładne wiersze, odznaczające się dowcipem i lekkością formy. Jeden z nich zaczyna się od słów:

Gdybym był młodszy, dziewczyno!
Gdybym był młodszy...

Otóż to chciałem powiedzieć, że ten wiersz, jak natrętna osa towarzyszył mi ciągle podczas czytania i po przeczytaniu listu p. Krachelskiej.

I na tem kończę.

Obserwator I.

Ps. Dyskusja na razie zamknięta, ale gdyby czytelniczki *Głosu* chciały mnie jeszcze obdarzać swemi uwagami i gdyby się wskutek tego zebrał nowy materjał, to po niejakim czasie moglibyśmy dyskusję otworzyć na nowo. Tylko prosiłbym w takim razie o wysyłanie listów pod adresem: „Drukarnia W-go W. Korneckiego w Krakowie, dla Obserwatora“, gdyż pod tym adresem listy mnie prędzej i pewniej dojść mogą.

KRONIKA.

Minister dr Piętak, wybrany onegdaj posłem na Sejm, wystosował do wyborców miasta Lwowa podziękowanie, które afiszami ogłoszono. Pismo to dra Piętaka opiewa: „Do Szanownych wyborców miasta Lwowa! Szanownym Wyborcom, którzy w dniu 8-go b. m. przy wyborze posła na Sejm krajowy oddali na mnie swoje głosy, składam gorące za to podziękowonie, że wobec agitacji niesłychanie gryzącej moją osobę, nie stracili we mnie wiary i nie odjęli mi tego zaufania, którem wyborcy lwowscy przy innych sposobnościach kilkakrotnie mnie zaszczycali. Na zaufanie odpowiem moją działalnością, wszystkich zaś Szanownych Wyborców zapewniam, że nie zboczę od tych zasad, które dotąd w publicznem działaniu były mi przewodnikami.

„Dobrze są one znane Szanownym Wyborcom, a jednak dziś muszę je przypomnieć, ponieważ usiłowano je zatrzeć w pamięci moich współobywateli. Oto moje zasady. Jestem wiernym synem Kościoła katolickiego, którego wiarę wyznaję, ale nie jestem ani klerykałem, ani antysemitą, wyznaję zasady demokratyczne, rozumię potrzeby szybko rozwijających się prądów społecznych ale daleki jestem od radykalizmu i zapędów opozycyjnych za wszelką cenę — pragnę postępu na każdem polu życia publicznego, ale dążę do niego rozważnie, licząc się z warunkami danej chwili. Przenoszę cichą a choćby tylko skromnie płodną pracę nad szum frazesów, uczciwość i sumienność w spełnianiu obowiązków obywatelskich uważam za podwalinę życia publicznego.

Tak kroczyłem dotąd, tak pójdę dalej.

Dr Leonard Piętak.

Wiedeń dnia 9 marca 1900“.

Strejk żydowskich cholewkarzy, który się rozpoczął przed tygodniem, jeszcze się nie skończył. Mimo nawoływań towarzyszy Kurowskiego i Serkowskiego żydki uchwalili dalej strejkować.

Z Dębnik piszą do nas: Odbywa się tu trasowanie pod budowę wązkotorowej kolei z Dębnik do Myślenic, budowanej przez ks. Lubomirskiego. Tutejsza Rada gminna zmienia się w kwietniu b. r. Należałoby do niej wybrać ludzi dobrej woli i chętnych, którzyby pamiętali o szkole, drukach i zaprowadzili oświetlenie lepsze, co nie byłoby zbyt trudnem ze względu na bliskość Krakowa. Staraniem tutejszych wyborców będzie nie dopuścić do Rady gminnej żydów.

Ekscesy powyborcze. Po czwartkowych lwowskich wyborach pokonani zwolennicy Daszyńskiego, który upadł przy wyborach, udali się wieczorem około godz. 7 z pod ratusza do redakcji *Słowa Polskiego* wznosząc okrzyki na cześć p. Daszyńskiego. Tu z okna przemówił do zebranej gawiedzi p. Laskownicki, zachęcając do wytrwania przy hasłach socjalistycznych pomimo klęski przy wyborach.

Odpowiedzią na to przemówienie było wybicie szyb w obok się mieszczącej redakcji *Ruchu Katolickiego*, czemu policja nie mogła przeszkodzić. Po tym bohaterskim czynie, tłum w liczbie około 300 głów chciał taką samą przyjemność urządzić drowi Bykowi, lecz policja zamknąwszy całą ulicę Jagiellońską nie dopuściła ekscedentów.

Wtedy awanturnicy, którym przewodziło trzech znanych lwowskich socjalistów, wrócili się i niebawem zabrzmiało hasło „hejże na Thulliego“ wskutek czego tłum ruszył na ulicę Dąbrowskiego, do mieszkania prof. Thulliego. Ani policja, ani szwadron huzarów nie zdołał przeszkodzić ekscedentom w wybiciu szyb w kamienicy p. Thulliego, rozpędził ich dopiero po dokonanym czynie.

Podniecony tłum chciał także wywrzeć zemstę za popieranie kandydatury dra Piętaka na redakcjach innych pism, lecz mu w tem przeszkodziła policja.

Dzięki taktowi i rozwadze policji nie przyszło do żadnych większych zaburzeń, choć wobec nadchodzącego tłumu o wojowniczym temperamencie zamykano z bojaźni sklepy i spuszczano żaluzje. Z ekscedentów aresztowano tylko jednego człowieka za opór władzy.

Dla bezpieczeństwa skonsygnowane było wojsko: bataljon piechoty 15 pułku i szkadron huzarów.

Organ p. Daszyńskiego z lubością opisuje, iż studenci politechniki urządzili w piątek demonstrację prof. Thulliemu, wołając „pereat“, gwiżdżąc i krzycząc. Prof. Thullie sali wykładowej nie opuścił, ale przebył ową awanturę spokojnie czekając jej końca.

Ruch katolicki zapewnia, że na wykład prof. Thulliego przyszło sporo ludzi z po za politechniki, między którymi widać było znanych prowodyrów socjalistycznych. Według tego dziennika prof. Thullie przerwał wykład i przeszedł do swego gabinetu, którego drzwi następnie ekscedenci wyłamali, p. Thulliego tam atoli nie znaleźli, bo był już w tym czasie w kancelarji dziekana.

Polski koncert w Petersburgu. *Nowoje Wremia* w nrze z dnia 22/6 marca r. b. zamieszcza sprawozdanie z koncertu urządzonego w Petersburgu przez tamtejsze katolickie Towarzystwo dobroczynności na powiększenie funduszu budowy katolickiego domu roboczego.

Według sprawozdawcy powyższego dziennika, program był nader urozmaicony i wykonali go wyłącznie polscy artyści i artystki i tak: pani Zofja Lubicz Dzierzbicka i Kruszelnicka; panowie: Butkiewicz, Kochański, Kleczkowski, obdarzony niepospolitym basem, tak, iż żałować przychodzi, że nad karjerę artystyczną przełożył zawód adwokacki. Z pań

LEW HR. TOŁSTOJ.

WSKRZESZENIE.

ROMANS

(87) (Ciąg dalszy).

— Ależ nie powinno się dać jemu zasnąć, tylko należy ufać wewnętrznemu głosowi — rzekł Niechludow, który zupełnie ulegał jej darowi udawania i teraz wpadł w zapał.

Później przypominał sobie nieraz całą rozmowę z nią, jej słowa nietyle fałszywe, co zastosowane do swoich poglądów, pamiętał wyraz nabożnej uwagi na jej twarzy, z jakim słuchała jego słów, gdy opowiadał o okrucieństwach więzienia i opisywał przykre wrażenia, jakich doznał na wsi.

Gdy hrabina wróciła, rozmawiali nietylko jak dwoje starych znajomych, lecz nawet jak szczególnie serdeczni przyjaciele, którzy sami tylko się rozumieją wśród otaczającego ich tłumu bez serca i zrozumienia.

Ich usta mówiły wprawdzie o niesprawiedliwości możnowładców, o cierpieniach ginących w więzieniach biedaków, o zubożeniu ludu, podczas gdy ich spojrzenia, tonące w sobie w czasie rozmowy, zadawały właściwie tylko pytanie: „Czy możesz mnie kochać?“ i dawały odpowiedź: „O tak, i jak jeszcze!“ i płciowy popęd, który całkiem nagle, jak barwna tęcza w nich się wzbudził, pociągał ich z elementarną potęgą ku sobie.

Gdy odjeżdżała, zapewniła go, że zawsze jest gotowa na usługi dla niego, w sprawach, które od niej zależały i prosiła go, aby ją koniecznie odwiedził w teatrze choćby tylko na chwilę; musi się jego poradzić koniecznie w bardzo ważnej sprawie.

— I kiedyż będę znowu mogła być w pańskiem towarzystwie? — dodała z tęsknem westchnieniem, naciągając ostrożnie rękawiczkę na rękę, strojną w pierścienie. — Więc pan mi przyrzeka przyjść?

Niechludow przyrzekł.

Gdy tej nocy sam w swoim pokoju kładł się do łóżka i światło zgasił, nie mógł długo usnąć. Na myśl o Masłowej, o wyroku senatu i o tem, że zdecydował się iść za nią, na myśl o wyrzeczeniu się posiadania ziemi — na tę myśl, jak gdyby odpowiedź na nią stanęła mu przed oczyma urocza twarzyczka Marjety, jej spojrzenie przy słowach, wymówionych z tęsknem spojrzeniem: — „I kiedyż będę znowu mogła być w pańskiem towarzystwie? — i jej uśmiech, i to tak żywo, że mu się zdawało, iż istotnie ją widzi przed sobą i sam się uśmiechnął.

Zadawał sobie w duszy pytania: — Czy dobrze robię, że się wynoszę na Sybir? Czy dobrze i rozsądnie postępuję, że się pozbawiam majątku?

Odpowiedź na te pytania brzmiała nieco niepewnie wśród petersburskiej jasności nocy, która się wdzierała przez niedość szczelnie zasunięte firanki pokoju. Myśli jego się zmąciły. Usiłował wzbudzić w sobie dawny nastrój, przywołać napowrót dawniejsze swe myśli i przy nich pozostać, jednakowoż te myśli nie miały już dawniejszej siły przekonywującej.

A jeżeli to wszystko okaże się nagle tylko jako wytwór mojej rozbujałej fantazji i ja już nie potrafię żyć z wyznaniem: „Żal mi tego, żem dobrze robił“, cóż wtedy? myślał sobie potem znowu i, nie mogąc znaleść jasnej, stanowczej odpowiedzi na to pytanie, uczuł smutek i zrozpaczenie tak wielkie, jak to już dawno u niego nie miało miejsca, i zapadał nareszcie w ciężki, nieorzeźwiający sen, podobnie, jak w dawniejszych czasach po zbyt znacznej przegranej w karty.

XXV.

Pierwszem uczuciem Niechludowa, jakiego doznał następnego dnia po przebudzeniu się, było przeświadczenie, że wczoraj popełnił coś bardzo złego. Zaczął się nad tem zastanawiać, aby sobie módz zdać sprawę: nie popełnił nic złego, ale miał myśli złe, szkaradne myśli, że wszystkie jego dotychczasowe zamiary i postanowienia— zamiar poślubienia Kasieńki i odstąpienia swoich posiadłości chłopom, że to wszystko były tylko niewykonalne mrzonki, których on nie może urzeczywistnić, że to wszystko jest sztucznem mamidłem i całkiem nienaturalnem, że i nadal musi tak żyć, jak żył dotychczas.

Więc złego nic nie zrobił; gorszemi jednak od czynów są takie myśli, jakie on miał, z nich bowiem wynikają wszystkie złe czyny. Tego postępku nie trzeba powtarzać, i można go żałować, ale złe myśli są źródłem wszystkich złych czynów. Jeden zły czyn toruje drogę innym takim czynom, złe myśli zaś cisną się na tę utorowaną drogę.

Gdy Niechludow rano swe myśli z dnia poprzedniego jeszcze raz dokładnie badał, nie mógł się dość nadziwić, że wogóle pozwolił im wybujać. I jakkolwiek nowem i trudnem było dla niego to, co sobie przedsięwziął, to jednakowoż jasno teraz widział, że takie życie było dla niego jedynie jeszcze możliwe, i że powrót do dawniejszego trybu życia, jakkolwiek wydawał się tak ponętnym i tak łatwo dałby się uskutecznić, musiał się równać jego duchowej śmierci. Jego wczorajsze ponętne uczucie przedstawiało mu się obecnie w zupełnie innem oświetleniu; wydawało mu się, że podobne ono było na włos do tego, co odczuwa człowiek, który już za długo spał i chociaż już nie może spać, przecież chciałby się jeszcze dłużej w ciepłem łóżku wygrzewać i pieścić, choć dobrze wie, że z powodu ważnego i przyjemnego zdarzenia, jakie go oczekuje, jest już dla niego najwyższy czas, aby wstał z łóżka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

usłyszeliśmy po raz pierwszy panią Zofję Lubicz-Dzierzbicką, która swoją grą odrazu zjednała sobie szczere uznanie publiczności. Wykonała kompozycje Chopina, Schuberta i swoje z wielkiem zrozumieniem, odczuciem, gracją i smakiem. O pani Kruszelnickiej sprawozdawca pisze, iż talent jej zbyt znany i ogólnie ceniony, by można jeszcze co więcej nadmienić.

Uwagę wszystkich zwrócił na siebie młody skrzypek p. Kochański, uczeń dyr. Młynarskiego z Warszawy; grał on z wielką techniką i temperamentem, właściwym większości polskich artystów. Młodemu artyście rokują świetną przyszłość.

Teatr miejski w Krakowie.

„Leta", krotochwila w trzech aktach Ralfa Gobbinsa z angielskiego, przedstawiona po raz pierwszy 10 marca b. r.

Angielska farsa, którą poznaliśmy w sobotę, jest szczerze zabawna, choć jest bardzo daleka od przysłowiowej angielskiej pruderji. Ma ona tempo szczere francuskie i szczerze francuską lekkomyślną niedorzeczność, mimo, iż z karykaturalnych sylwetek wieje od czasu do czasu jakiś lekki powiew odrębności angielskiego humoru, a z djalogów dobywa się raz po raz jakiś ślad, że autor krotochwili jest ziomkiem i wielbicielem Sheridana.

Czyż nie jest sheridanowskim typem ten służący Samuel, którego gra tak świetnie p. Popławski, a którego z niewiadomych powodów brak na afiszu? (Wogóle od pewnego czasu korekta afiszów jest bardzo niestaranna). Samuel jest służącym u p. Benjamina Candla (p. Roman), który niegdyś bardzo wesołe pędził życie w Liwerpolu, obecnie zaś dostał się pod panowanie grobowej małżonki (p. Wojnowska), która jest apostołką wstrzemięźliwości od wszelkich uciech życia.

Państwo Candl mają siostrzeńca (p. Sobiesław), który się zakochał w cnotliwej Nelly, kasjerce w restauracji Cavoura w Londynie (p. Sulima) i chce się z nią gwałtem żenić. Naturalnie Candlowie nie chcą o tem słyszeć.

Przyjaciółka cnotliwej Nelly, niecnoliwa baletniczka Katy Florida (p. Siennicka), układa spisek. Oto sprowadza ona p. Candla, który niekiedy wymyka się do Londynu, aby w letejskiej wodzie zapomnienia, to znaczy w szampanie, utopić swoje troski, do restauracji Cavoura i „naciąga" go na kolację w gabinecie razem z Nelly. Równocześnie zjawia się w tej samej restauracji wraz z kochankiem baletniczki, młodym panem Pimbertonem (p. Mielewski), surowa pani Candle, aby szpiegować swego męża. Powstają z tego arcyśmieszne „qui pro quo", rozgrywające się w dwóch gabinetach oddzielonych korytarzem, a bardzo dowcipnie i gustownie urządzonych przez reżyserję. Scena, w której pan Candle widząc swoją małżonkę przy mleku i wodzie sodowej w objęciach swego „syna", wdrapuje się na przepierzenie i tkwi tam w rozpaczliwej pozycji, nie pozbawiona jest pierwszorzędnej siły komicznej.

W akcie trzecim zjawia się nowa postać, pan Pimbert n ojciec (p. Solski), notarjusz z Liverpool, który, jak się okazuje, jest także ojcem Nelly. Pan Pimberton wmawia jednak w poczciwego Candla, że to on dał życie uroczemu stworzeniu, krzywdząc swojego czasu jakąś „małą Kofibury", w co p. Candle ostatecznie wierzy, przypisując brak wspomnień w tym kierunku działaniu letejskiej wody. Wszystko się kończy dobrze. Nelly wychodzi za Henryka, pani Candle skruszona przeprasza męża za niesłuszne podejrzenie, młody Pimberton wraca do Liverpoolu z ojcem, ale i z baletniczką — wznoszą się w górę kieliszki, napełnione „gazową limoniadą", która do tego stopnia smakuje wstrzemięźliwej pani Candle, że z zainteresowaniem wypytuje się o jej nazwę. Odpowiadają jej naturalnie tytułem sztuki.

Piszący te słowa widział „Letę" kilka lat temu w Warszawie, gdzie p. Wołowski robił na niej w cyrku bardzo dobre interesy. Zapewne i w Krakowie farsa podobać się będzie. W Warszawie grano ją jednak daleko żywszem tempem. Aktorowie krakowscy są zanadto „akademiccy", aby mogli właściwie grać tego rodzaju błahostki. Panowie Solski i Roman mają zbyt ogromne twórcze talenty, aby się mogli powstrzymać od ochoty uczynienia ze swoich ról na wet w farsach jakichś nieposoplitych kreacyj; gdy zaś sztuka nie daje im ku temu pola, musi powstawać pewen rozdźwięk. Nie znaczy to wcale, aby nie mieli być wyborni. Z personalu, który „Letę" grał z wielkiem powodzeniem w Warszawie, jest w naszym teatrze bardzo utalentowana młoda artystka, którą doprawdy niewiadomo dlaczego usuwa się od ról, będących nawet jej własnością, a która właśnie temperamentem i warunkami nadaje się, jak rzadko, do tego rodzaju repertoaru.

Panna Sulima bardzo milutko grała Nelly, ale zrobiła z niej dystyngowaną, zalotną panienkę z wykwintnej komedji. Reżyserja powinna dbać o to, aby umieć właściwie zużytkowywać początkujące zwłaszcza talenty: p. Sulima powinna otrzymywać jak najczęściej role z zakresu kokietek, dowiodła bowiem pierwszym, bardzo udanym występem w takiej właśnie roli, jak korzystnym jest dla naszego teatru nabytkiem.

O p. Siennickiej niepodobna pisać bez zachwytu; duży jej talent i przedziwna piękność oprómienia naszą scenę od chwili, kiedy na nią wróciła, wyjątkowym urokiem. Wojnowska jest, jak zawsze, nieporównana; Sobiesław i p Mielewski tworzyli doskonałą parę dzielnych, pięknych chłopców. *Fotel nr. 24.*

Poniedziałkowe posiedzenie parlamentu.

Wiedeń 12 marca. (Tel. pryw.)

Dzisiejsze posiedzenie Izby rozpoczyna się o trzy kwadranse na dwunastą w południe.

Na początku zostaje odczytanych parę pism mniejszej wagi.

Następnie minister wyznań i oświaty przedkłada Izbie projekt regulacji płac dla systemizowanych nauczycieli grecko-orjentalnej szkoły w Zarze.

W dalszym ciągu prezydent ministrów zdaje sprawę z wyniku wyborów do komisji sanitarnej.

Z kolei żądają posłowie: Gessman, Leopold Steiner, Daschel i towarzysze, aby rząd przy odnowieniu traktatu handlowego z Włochami wykreślił z niego zupełnie klauzulę, dotyczącą opłat od importowanych win.

Posiedzenie trwa dalej.

Z KOŁA POLSKIEGO.

Wiedeń 12 marca. (Tel. pryw.).

Na niedzielnem posiedzeniu Koła polskiego poruszył dr Sokołowski sprawę seminarjów nauczycielskich dla szkół ludowych i żądał, aby suplentom wliczono lata przed egzaminem nauczycielskim do służby rządowej.

Poruszano następnie różne sprawy: ks. Pastor budowę kościoła patronackiego w Leżajsku, Znamirowski wprowadzenie zmian w zarządzie Krynicy, Binder pożyczkę miasta Nowego Sącza i t. d.

Prezes Jaworski poddaje pod obrady Koła porządek dzienny Izby.

Dep. Czecz krytykuje postępowanie władz wojskowych, Eugeniusz Abrahamowicz konstatuje, że minister wojny i obrony krajowej nie uwzględnia żądań Koła i prowadzi taką samą gospodarkę jak dawniej, Struszkiewicz porusza sprawę szkód, jakie w rolnictwie wyrządzają manewry; Potoczek skarży się na uciążliwość podwodów i zwoływanie we święta zgromadzeń kontrolnych.

W końcu przedstawia Popowski swój referat i odpowiada na zarzuty.

KATOLICKO-POLSKA WALKA KULTURNA.

Berlin, d. 10 marca (L. Gł. N.).

Przy obradach nad etatem wyznań i oświaty w pruskiej Izbie deputowanych zabrał głos poseł ks. dr Jaździewski, i ostrzegał, że pedagogiczne błędy obecnego systemu szkolnego pomszczą się w sposób dotkliwy. Jeżeli administracja szkolna chce przyswoić dzieciom polskiej ludności język niemiecki, to sprawiedliwość wymaga tego, aby języka i kultury polskiej nie przedstawiano, jako pośledni, tylko ją szanowano. Szanowny mowca wykazywał w dalszym ciągu potrzebę udzielania nauki religji w języku polskim i konstatował dobitnie, że administracja szkolna pracuje systematycznie nad tem, aby polskim dzieciom odebrać możność prywatnego uczenia się języka polskiego. Czcigodny ks. prałat zarzucał ministerstwu oświaty, że w sposób jak najbezwzględniejszy występuje przeciwko prywatnej nauce polskiego języka. Tak iść dalej nie może. Rząd ma obowiązek albo kazać dzieci uczyć w szkole języka polskiego, albo przynajmniej dać rodzicom możliwość uczenia dzieci prywatnie języka ojczystego. Przepisy rządu pruskiego przeciw Polakom tchną często tyranją i one to dopiero wywołały nieprzychylne wśród Polaków stanowisko wobec niemczyzny. (Brawo! w Kole polskiem).

Minister Studt odpowiadał jak następuje: Umiarkowany ton preopinanta ucieszył mię, ale sąd, jaki wydał o rozporządzeniach rządu, muszę odeprzeć z całą stanowczością. Ponieważ te mowy rozbrzmiewają daleko po za granice naszego kraju — są one po części przeznaczone na to, by wpływać na opinję publiczną — przeto tem większy mam ku temu powód. Preopinant twierdzi, że dopiero rozporządzenia rządu wywołały niechęć Polaków. Właśnie rzecz ma się przeciwnie. Dopiero, kiedy narodowa agitacja polska stawać się zaczęła coraz to barziej wrogą niemczyznie, coraz bardziej natarczywszą, coraz skuteczniejszą, — wystąpiliśmy przeciwko temu. Rządowi ani na myśl nie przyszło opierać się ludności polskiej w słusznych jej żądaniach. Niestety, co do rozmiarów uzasadnionych żądań nie można dojść do porozumienia ani z Kołem polskiem ani z ludnością polską. Także narodowo-polscy agitatorzy nie mają niestety lojalnych zapatrywań preopinanta. Różne gazety używają najwstrętniejszych określeń. Nie chcę panów nudzić niemi. Pragnę, aby panowie Polacy użyli swego wielkiego wpływu na lud polski i na prasę polską, iżby ustały tego rodzaju zajścia. Wiersz, który minister odczytuje, ubolewa nad germanizacją Wisły. To jest podziękowanie za nasze uregulowanie biegu Wisły! Co do nauki szkolnej, to nie mogę zdać jeszcze żadnego oświadczenia, ponieważ zbyt krótko jestem w urzędzie.

Tyle atoli mogę powiedzieć, że administracja będzie się kierowała zasadami prawa i sprawiedliwości. Nie zejdę z drogi prawa i powstrzymam wszelką samowolę, a zwłaszcza szykanujące przepisy, które mogą drażnić niepotrzebnie i w danym razie wystąpię z pomocą przeciw temu. (Brawo!) Ubolewam nad tem, że nieukończona jeszcze korespondencja między poznańskiem prezydjum naczelnem a ministerstwem już się dostała do rąk posła Jażdżewskiego. Narodowo polska agitacja nie waha się wdzierać do kół dzieci szkolnych. Toż dają się nawet szowinistyczne pisma polskie dzieciom do ręki! Minister wymienia przypadki, w których niemieckim katolikom, mimo znacznych mniejszości, odmówiono niemieckiego nabożeństwa(?) i niemieckich kazań w polskich parafjach. Systematycznie pracuje się nad odebraniem katolikom niemieckim ich narodowości! Jest to świętym obowiązkiem rządu zająć stanowisko przeciw temu. Zaprotestować muszę także przeciwko twierdzeniu, jakoby za plecami szefa wydziału poszczególni urzędnicy ministerstwa mogli wydawać rozporządzenia przeciw Polakom z względów wyznaniowych. Takie rządy poboczne są w Prusach niemożliwe! (Brawo! na prawicy).

Dep. Strzoda (centr.) żałował bardzo, że na wywody dep. ks. Glowatzkiego z poprzedniego posiedzenia nikt nie odpowiedział od stołu rządowego, ponieważ zdania te dzieli całe duchowieństwo górnośląskie. Nie żąda się czegoś niebywałego, lecz tylko przywrócenia dawnego, praktycznego systemu nauczania, przy którym młodzież równie dobrze, jeżeli nie prędzej uczyła się języka niemieckiego, niż obecnie. Lud polski na Górnym Śląsku nie zapalał się do dawniejszych powstań polskich, zawsze stał na uboczu, ponieważ w szkole nabył patrjotyzmu i przywiązania do kraju. Wszystkie usiłowania obecnej administracji, by wzmocnić wpływ niemczyzny, będą bezowocne, dopóki w szkołach panować będzie tylko język niemiecki. Lud polski skonstatuje znowu z żalem, że wszelkie starania, by choć naukę religji dzieci miały w ojczystym języku, spełzły na niczem. Idzie to o kwestję tak wielkiego znaczenia, że nie można jej żadną miarą pominąć w interesie państwa. Górnoślązacy nie przestaną nigdy być szczerymi katolikami i dobrymi poddanymi króla pruskiego. (Huczne brawo! w centrum).

Minister Studt: Z wielką uwagą słuchałem wczoraj wywodów posła Glowatzkiego. Mogę tylko zapewnić, że to, co słyszałem dzisiaj, znalazło u mnie odgłos. Proszę z mego wczorajszego milczenia nie wysnuwać wniosku, jakobym nie zważał na skargi ludności górnośląskiej. Nie mogę dziś złożyć żadnego przyrzeczenia co do uchwały w sprawie zmiany urządzenia, istniejącego od lat wielu. Postąpiłbym zbyt porywczo i mógłbym dotknąć inne części ludności, gdybym już dzisiaj uznał żądania za słuszne. Mogę jednakże obiecać, że zbadam stosunki jak najsumienniej i postaram się o zmianę tam, gdzie jej potrzeba według mego przekonania. (Brawo! w Kole polskiem i w centrum).

Poseł Leon Czarliński skarżył się na to, że rząd podkopuje byt polskich aptekarzy i chce publiczność polską zwrócić do aptek niemieckich. Chce się także usunąć polskie etykiety w aptekach. To jest niebezpiecznem w dzielnicy, której $^{3}/_{4}$ mieszkańców należy do narodowości polskiej, a $^{1}/_{3}$ z nich nie rozumie wcale po niemiecku. Dalej użalał się szanowny mowca na małoduszność, okazywaną przy przyjmowaniu polskich uczni aptekarskich.

Rio de Janeiro 12 marca. *(Tel. B. Kor.).* Ajencja Hawasa donosi: Rząd brazylijski otrzymał już przed miesiącem wiadomość, że kilku niezadowolonych zamierza utworzyć sprzysiężenie przeciwko republice; działać postanowił rząd dopiero wtedy, gdy się dowiedział, że pieniądze pochodzące od monarchistów rozdawano między ajentów policyjnych i innych ludzi. Jeden ze spiskowców miał zająć się osobą prezydenta Campos Sales w Petropolis. Na wypadek pomyślnego rezultatu miał być ustanowiony rząd prowizoryczny.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Ehrenberg. Druk W. Korneckiego w Krakowie.